marokańskiej stronie. Dzisiaj zamierzamy dotrzeć do Mauretanii i zacząć prawdziwe zwiedzanie. Bo do teraz jedziemy przecież tranzytem. Na dworze temperatura sięga 50 °C, a w kabinie – klimatyzowanej – temperatura przekracza 36 °C. Pomimo upałów brniemy dalej. Samochód ledwo jedzie. I jemu temperatura daje się mocno we znaki. Co jakiś czas robimy sobie przerwy, by obserwować to, co się dzieje na pustyni. Dzisiaj droga wiedzie nieco dalej od atlantyckiego wybrzeża. Asia uparła się na fotograficzne udokumentowanie każdego gatunku roślinek. I dobrze – w Polsce takich nie znajdziemy. Podczas obserwacji pierwszej całkowicie piaszczystej wydmy (bo wjechaliśmy w tereny bardziej zbliżone do naszego wyobrażenia pustyni) poznajemy jednego z mieszkańców tych niegościnnych terenów. Między nogami smyknęła nam jaszczurka.

Po kilkugodzinnej jeździe w pełnym słońcu docieramy do granicy. Punkt marokański wygląda jeszcze w miarę cywilizowanie. Tyle, że panuje tu wszechobecna biurokracja. Przejście graniczne od tej strony bazuje jeszcze wyłącznie na księgach. Jest kilka punktów, w których skrupulatnie odnotowywane są informacje. Na przejściu z Ceutą były przynajmniej komputery. A tutaj jeszcze chyba taka technika nie dotarła. Po zaliczeniu ostatniego punktu kontrolnego przejeżdżamy koło szlabanu i ... koniec. Skończyła się droga a zaczęło pole minowe. Podobno cała marokańsko – mauretańska granica jest zaminowana. Nie ma to jak bratnie narody. Na szczęście między punktami granicznymi biegnie 4-kilometrowy gruntowo-betonowy odcinek drogi, do przebycia właściwie jedynie przez samochody terenowe. Potem dojeżdżamy do pierwszej budki po stronie mauretańskiej. Jeśli Maroko nie było bogatym krajem, to tutaj widać już biedę. Pogranicznicy mają zielone mundury, ale są na bosaka. A ich budki zbudowane są z dykty i kartonów, a uszczelniane szarym papierem i gazetami. Wyposażenie tych budek to stolik, dwa krzesła, łóżko polowe i ... wszechobecne księgi. I ponownie, jak na granicy marokańskiej, przechodzimy od budki do budki. Najpierw żandarmeria, potem policja, następnie cło, jeszcze ubezpieczenie samochodu i wymiana waluty. Po ponad godzinie (straconej) możemy ruszać dalej. Swoją pomoc zaoferował nam ubezpieczyciel. Chciał nam pokazać swoje biuro w mieście. A przy okazji poprowadził nas do samego Nouadhibou, a nawet na

Mauretania, oaza Terjit

Mauretania, Chinguitti, drzwi z drewnianym zamkiem

Mauretania, wjazd do Chinguitti

Mauretania, droga szybkiego ruchu

kemping. Zaliczamy więc pierwsze miasto w Mauretanii, przy tym zupełnie niepodobne do tych, które widzieliśmy w Maroku. Domy są szare, brudne, a wszystko wygląda jakby było niewykończone. Na kempingu zajmujemy pokoik z łazienką, ale o ciepłej wodzie można tylko pomarzyć.

Po wizycie u ubezpieczyciela, u którego – ze względu na brak odpowiednich druków – nie dochodzi do żadnego interesu, ruszamy w drogę. Wracamy wzdłuż cypla i kierujemy się na stolicę. Po drodze zatrzymujemy się na dzikim kempingu. Tutaj dziewczyny zaczynają kolekcjonować muszelki. Na pamiątkę. Bagażnik zapełnia się skarbami. Kemping zlokalizowany jest w miejscu, w którym występują ciekawe formacje piaskowe. Wracamy na szosę, która biegnie wzdłuż linii kolejowej, równolegle do zaminowanej granicy z Marokiem, a właściwie z Saharą Zachodnią. Mamy szczęście – koło nas przejeżdża pociąg towarowy. Składa się z 3 lokomotyw i 167 wagonów (przynajmniej tyle doliczyły się dziewczyny). Podobno tędy jeżdżą najdłuższe pociągi na świecie. Kierujemy się na stolicę Mauretanii. Żeby tam dotrzeć, musimy pokonać ponad 500 km pustyni. Na szczęście cały czas jedziemy nowiutką szosą. Asfalt wygląda tak, jakby go dopiero wczoraj położyli. Tej drogi nie ma jeszcze na żadnej mapie. Jazda jest monotonna, a upał doskwiera. Silny wiatr nawiewa tylko piasek na drogę. Pięknie to wygląda.

Co jakiś czas mijamy koczowiska nomadów. Zwykle jest to kilka namiotów, czasem szałasów i drewnianych bud. Nic stałego. Zastanawiamy się, jak ci ludzie żyją. Parę razy – dla rozprostowania zastałych kości – zatrzymujemy się na pustyni. Asia próbuje udokumentować wszystkie roślinki, jakie napotka. Zbiera też próbki piasku. Na jednym z takich postojów trafiamy na dwa osiołki: mamę i świeżo urodzone maleństwo. Oczywiście – krótka sesja zdjęciowa. Mija nas również olbrzymie stado wielbłądów.

Mamy dość monotonii drogi i decydujemy się na zjazd do pierwszej nadmorskiej wioski. To poważny błąd. Raz – fatalna droga. Dwa – sama wioska rybacka znajduje się praktycznie na plaży, trzy – zakopujemy się w piasku, cztery – dopada nas chmara dzieciaków. Myśleliśmy, że jak rozdamy trochę cukierków, to się uspokoją. Nic bardziej mylnego. Dopiero wtedy się zaczęło. Jakimś cudem udało nam się wyjechać z piachu i opuścić wioskę. Na wizyty w kolejnych wioskach musimy się lepiej przygotować.

W końcu docieramy do stolicy – Nouakchott'u. Tutaj musimy zlokalizować dwa punkty: ambasadę Mali i później punkt noclegowy. Do ambasady trafiamy bez problemu – nasz przewodnik pokazuje to miejsce bardzo precyzyjnie. Gorzej z noclegiem – po kilku wizytach w różnych miejscach wybieramy kemping „Nouvelle". Dostajemy dwa pokoiki i zabieramy się do toalety. Wielkie pranie, mycie, przepakowanie samochodu. Trwa to wieki. Następuje chwila wytchnienia, po której ruszamy na podbój mauretańskiej kuchni. Nie trafiamy na nic lokalnego, więc posilamy się owocami morza.

Nazajutrz idziemy do ambasady. Składamy wnioski wizowe i ruszamy ponownie na podbój miejskiej plaży. Dziewczyny zajmują się poszukiwaniem muszli i kamieni, a Aśka również wrażeń w lodowatym oceanie. Ja robię spacer w kierunku wraku statku. Jest to wrak całkiem sporego trawlera rybackiego. Ciekawy jestem, jak wielki musiał być to sztorm, żeby taką jednostkę wyrzucić na brzeg. Przyglądamy się pracy miejscowych rybaków. Śmieszne, ale ich kutry są niewiele większe od naszych kajaków czy łódek. A oni mają odwagę na takich łupinach wypływać daleko na ocean. Sama plaża mogłaby być chlubą Nouakchott'u, gdyby została zagospodarowana. Póki co, jest wielokilometrowym pasem piasku, o szerokości ok. 200 metrów, zasypanym śmieciami. Sam Nouakchott jest miastem pustynnym – największym jakie zbudowano na pustyni.

Wracamy na kemping, bierzemy szybką kąpiel, pakujemy samochód i jedziemy ponownie do ambasady. Malijskie wizy już są wbite w paszporty i czekamy tylko na odbiór dokumentów. Jeszcze tylko krótkie zakupy i ruszamy na pustynię. Kierujemy się na północny wschód. Do miejscowości Atar. Ale zanim tam uda nam się dotrzeć, czeka nas prawie 400 km jazdy po Saharze. Na szczęście jest to bardzo zróżnicowane 400 km, a nie nudna jazda. Chociaż droga jest prosta niemalże jak stół to jedzie się bardzo przyjemnie. Tylko temperatura zaczyna nam dokuczać. „Dyskoteka" również chyba ma dość, cały czas się grzeje i pali jak smok. Ale chyba nie jest to specjalnie dziwne zważywszy na to, że na dworze temperatura przekracza 60 °C. To nasz dotychczasowy rekord. Termometr zatrzymuje się na 62 °C,